

AUTORKA BESTSELLERA **WSPÓŁLOKATORZY**

BETH O'LEARY

Zapnijcie pasy!
Szaloną podróż czas zacząć!



W DROGĘ!

JEDEN SAMOCHÓD. PIĘCIORO PASAŻERÓW.
I DROGA PEŁNA MIŁOSNYCH WYBOJÓW.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE ROAD TRIP

Copyright © 2021 Beth O'Leary Ltd
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård

Redakcja: Anna Walenko

Ilustracja na okładce: Claudi Kessels

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Rita Frangie

Projekt graficzny okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Dylan

– Przyjaźń nie zna gładkiej drogi, tak bym to ujął – mówi do mnie Marcus, manipulując przy pasie bezpieczeństwa.

Pierwszy raz słyszę z jego ust szczere przeprosiny, które na razie sprowadzają się do sześciu frazesów, dwóch przekręconych cytatów literackich i braku kontaktu wzrokowego. Słowo „przepraszam” padło, jednak poprzedzone: „Zawsze kiepsko mi to idzie, ale...”, co trochę nadwątlilo szczerość intencji.

Wrzucam wyższy bieg.

– A nie „prawdziwa miłość”? Chyba ona „nie zna gładkiej drogi”*. To że *Sen nocy letniej*, jak mi się zdaje.

Mijamy całodobowe Tesco. Dochodzi wpół do czwartej nad ranem, wszystko wokół jest przykryte kocem ciemności i tylko mdłe żółte światło ze sklepu, niczym blask reflektora, prześlizguje się po trzech osobach w samochodzie przed nami. Jesteśmy blisko za nim, przyblokowani przez ciężarówkę, która wlecze się na samym przodzie.

Nagle miga mi twarz kobiety za kierownicą, odbita w lusterku wstecznym. Podobna do Addie – gdy się o kimś często myśli, widzi się tę osobę wszędzie.

Marcus prycha z irytacją.

– Mówię o swoich uczuciach, Dylanie. Co za męka. Proszę cię, wyjdź ze swojego świata i zacznij słuchać.

* William Szekspir, *Sen nocy letniej*, przełożył Stanisław Barańczak.

– Dobrze – odpowiadam rozbawiony. – Słucham.

Przejeżdżam koło piekarni. Oczy kobiety w samochodzie przede mną znów rozbłyskują w lusterku, jej brwi rysują się tuż nad prostokątną oprawką okularów.

– Mówię tylko, że nam się nie układało, to jasne, i nie najlepiej sobie z tym radziłem, no i... no i szkoda, że tak było.

Zdumiewające, jakie on wyczynia wygibasy, byle nie powiedzieć: „Przepraszam, żałuję”. Nie odzywam się. Marcus chrząka i dalej się wierci, a ja już zaczynam się nad nim litować i ciśnie mi się na usta: „W porządku, nie przepraszaj na siłę”, ale gdy mijamy punkt bukmacherski, na samochód przed nami znów pada snop światła i zapominam o Marcusie. Kobieta za kierownicą opuściła szybę i wysunęła rękę, przykładając dłoń do dachu. Jej nadgarstek oplatają bransoletki połyskujące srebrno i czerwono w świetle reflektorów. Ten gest jest boleśnie znajomy – smukłe jasne ramię, zdecydowany ruch i te dziecinne bransoletki z koralików. Rozpoznałbym je wszędzie. Serce wali mi jak szalone, bo to naprawdę ona, Addie, nasze spojrzenia spotykają się w lusterku wstecznym.

I wtedy rozlega się wrzask Marcusa.

Podobny okrzyk przerażenia Marcus wydał jakiś czas temu, gdy mijaliśmy reklamę firmy Greggs, przedstawiającą wegańską wersję kielbasek w cieście francuskim, więc nie reaguję tak szybko, jak bym to zrobił w innych okolicznościach. Jadący przed nami samochód ostro hamuje, a ja za późno wciskam hamulec mercedesa o wartości siedemdziesięciu tysięcy funtów, który należy do ojca Marcusa, i momentalnie tego żałuję.

Addie

Łup!

Głowa odskakuje mi do tyłu tak gwałtownie, że z uszu zjeżdżają mi okulary i lecą przez zagłówek. Ktoś krzyczy. Ożeż kurwa! – ostry ból w karku promieniuje do czaszki. Co ja takiego zrobiłam? Uderzyłam w coś? – przebiega mi przez myśl.

– Ale niefart – mówi siedząca obok Deb. – Nic ci nie jest?

Szukam okularów, ale oczywiście nie znajduję.

– Co się, u licha, stało? – z trudem wykrztuszam.

Ręce mi się trzęsą, gdy ściskam kierownicę, a potem zaciągam hamulec. Patrzę w lusterko wsteczne. Próbuje zorientować się w sytuacji.

Widzę go w lusterku. Jest trochę zamazany, bo nie mam okularów. Trochę nierzeczywisty. Ale to on, bez wątpienia. Wygląda tak znajomo, że przez ułamek sekundy mam wrażenie, jakbym patrzyła na własne odbicie. Nagle serce o mało nie wyskoczy mi z piersi.

Deb wysiada z samochodu. Śmieciarka przed nami oddala się i w świetle jej reflektorów miga kita lisa, przed którym wyhamowała. Zwierzę wolnym krokiem wchodzi na chodnik. Uprzytamniam sobie przebieg wypadków: kierowca ciężarówki zatrzymuje się na widok lisa, ja zatrzymuję się za ciężarówką, a Dylan nie zatrzymuje się za mną. Łup!

Znowu spoglądam w lusterko: Dylan nadal na mnie

patrzy. Wszystko zwalnia, cichnie i zaciera się, jakby ktoś wyłączył świat.

Nie widziałam Dylana od dwudziestu miesięcy. Można by sądzić, że trochę się zmienił. Jak wiele innych rzeczy. Ale tak nie jest: nawet z tej odległości i w półmroku rozpoznaję kształt nosa, długie rzęsy i żółtozielone tęczęwki jakby w węzowy deseń. Wiem, że będzie wpatrywał się we mnie wielkimi oczami, zszokowany, jak wtedy, gdy mnie zostawił.

– No, no – mówi moja siostra – możemy być dumne z naszego mini.

Mini. Samochód. Wszystko natychmiast wraca. Odpinam pas po trzeciej próbie, rozdygotana. Znów spoglądam w lusterko i teraz mój wzrok pada bliżej, na pierwszy plan. Widzę Rodneya, który siedzi z tyłu, zgięty wpół, dotykając nosem kolan i obejmując głowę dłońmi.

Cholera. Kompletnie zapomniałam o Rodneyu.

– Dobrze się czujesz? – pytam go i w tej samej chwili Deb zwraca się do mnie:

– Addie? Wszystko w porządku? – Zagląda do samochodu, krzywiąc się. – Ciebie też boli szyja?

Dopiero teraz uzmysławiam sobie, jak dotkliwie.

– No.

– O rany! – odzywa się Rodney, powoli przestając się kulić. – Co to było?!

Wczoraj Rodney wrzucił na facebookowej grupie „Cherry i Krish się chajtają” posta z pytaniem, czy ktoś z okolic Chichester jedzie na ślub i może go zabrać. Nikt się nie zgłosił, więc się zlitowałyśmy. O Rodneyu wiem tylko tyle, że na śniadanie pije napój mleczny Weetabix On The Go, ciągle się garbi i nosi T-shirt z napisem: „Naciskam Esc, ale wciąż tu jestem”. Myślę jednak, że mam o nim wystarczające pojęcie.

– Walnął w nas jakiś dupek w mercedesie – informuje go Deb, prostując się i spoglądając w tył.

– Deb... – bąkam.

– Co?

– To chyba Dylan. W tym samochodzie.

Siostra marszczy nos i znów się pochyła, wbijając we mnie wzrok.

– Dylan? Dylan Abbott?!

Nerwowo przełykam ślinę.

– Tak.

Ostrożnie odwracam głowę. Szyja się buntuje. I wtedy widzę, jak z mercedesa wysiada pasażer. Szczupły mężczyzna o twarzy upiornie bladej w porannym mroku, z kręconymi włosami, na które pada światło ze sklepowych witryn. Serce ponownie zaczyna mi łomotać.

– Jest z Marcusem – dodaję.

– Z Marcusem?! – Deb robi wielkie oczy.

– Tak. Rany boskie... – Koszmarna sytuacja. Co robić? Zająć się ubezpieczeniem? – Jak wygląda samochód? – pytam.

Wsiadam z mini i jednocześnie Dylan wysiada z mercedesa. Ma na sobie biały T-shirt, krótkie chinosy i wysłużone mokasyny. Przy szlufce szortów wisi karabińczyk wetknięty w kieszonkę. To ja wpadłam na ten pomysł po to, żeby przestał gubić klucze.

Wchodzi w snop światła mercedesa. Jest taki przystojny, że dech mi zapiera. Nie sądziłam, że na jego widok zareaguję tak mocno. Mam ochotę jednocześnie pobiec do niego, uciec, zwinąć się w kłębek i rozplakać. A gdy sięgnąć głębiej, czuję, że ktoś coś schrzanił, w rejestrach wszechświata wykreślono coś, co powinno tam być. No bo rzeczywiście miałam się zobaczyć z Dylanem w ten weekend, pierwszy raz od prawie dwóch lat, ale dopiero na ślubie.

– Cześć, Addie – mówi Dylan.

– Hej. – Ledwie udaje mi się wydobyć głos.

– Czy mini faktycznie rozwalilo mercedesa mojego taty? – odzywa się Marcus.

Z zakłopotaniem dotykam odruchowo grzywki. Nieumalowana, nieuczesana, w wyświechtanych ogrodnickach. Jasna cholera, od miesięcy zastanawiałam

się, co będę miała na sobie, gdy się spotkamy, ale nie tak miało to wyglądać. Dylan jednak wcale nie mierzy mnie wzrokiem z góry na dół, chyba nawet nie zauważa, że przefarbowalam włosy – napotyka moje spojrzenie i patrzy mi w oczy. Czuję się tak, jakby cały świat stanął w miejscu.

– Ja pierdolę – parska Marcus. – I to jeszcze mini! Ale dyshonor!

– Co jest, do diabła? Co wy wyrabiacie? Walnęliście nas! – pomstuje Deb.

Dylan rozgląda się, skonsternowany. Biorę się w garść.

– Komuś coś się stało? – pytam. – Rodney?

– Kto to? – wcina się Marcus.

– Nic mi nie jest! – odkrzykuje Rodney.

Deb pomaga mu wysiąść. Ja powinnam to zrobić. Mam mętlik w głowie.

– O cholera – mówi Dylan, gdy w końcu widzi wgnieciony zderzak mercedesa. – Przepraszam, Marcus.

– Naprawdę nie ma się czym przejmować, przyjacielu – oświadcza Marcus. – Wiesz, ile samochodów skasowałem swojemu tacie? Nawet nie zauważył.

Idę obejrzeć tył wysłużonego mini mojej siostry. Wygląda nie najgorzej – przy uderzeniu był taki huk, jakby odpadła jakaś ważna część. Na przykład koło.

Zanim się orientuję, Deb już siedzi za kierownicą i uruchamia silnik.

– Wszystko w porządku! – krzyczy. – Rewelacyjne auto! Moja najlepsza inwestycja.

Parkuje częściowo na chodniku i włącza światła awaryjne.

Dylan wraca do mercedesa i zaczyna szperać w schowku. Rozmawia z Marcusem o ściągnięciu pomocy drogowej. Marcus przekazuje mu maila z komórki, a ja myślę sobie... otóż to, Dylan ma krótsze włosy. No właśnie. Wiem, że powinnam zająć się tym zderzeniem, zamiast bawić się w „Znajdź różnice”, przyglądać się Dylanowi i rozważać, co zniknęło, a co się pojawiło.

Nasze oczy znowu się spotykają. Robi mi się gorąco. W

spojrzeniu Dylana jest coś szczególnego – chwyta cię jak pajęczyna. Muszę odwrócić wzrok.

– Zapewne... jedziecie na ślub Cherry – mówię do Marcusa.

Głos mi drży. Nie mogę zdobyć się na to, żeby na niego spojrzeć. Dociera do mnie, że z ulgą sprawdzę wgniecenie na tylnym zderzaku mini.

– Cóż... zamierzaliśmy – cedzi słowa, oglądając mercedesa. Może też nie chce na mnie spojrzeć. – Ale teraz ta bryka w żadnym razie nie przejedzie sześciuset pięćdziesięciu kilometrów. Wyląduje w warsztacie. Twoje auto też powinno tam trafić.

Deb, która już znowu stoi przy samochodzie i wyciera rękawem swojej znoszonej bluzy, prychna lekceważąco.

– Jest w porządku. – Sprawdza, czy bagażnik otwiera się i zamyka. – To tylko wgniecenie.

– Marcus, źle się dzieje! – woła Dylan.

Nawet z odległości widzę czerwone kontrolki na desce rozdzielczej mercedesa. Uszkodzenie jest poważne. Odwracam głowę. Czy to nie znamienne, że gdy Marcusowi psuje się samochód, to Dylan załatwia sprawę?

– Laweta przyjedzie za pół godziny i zabierze auto do warsztatu – oznajmia Dylan.

– Za pół godziny? – powtarza Deb, nie wierząc własnym uszom.

– Standardowa usługa. – Marcus kiwa głową w stronę auta. – Tak jest, gdy ma się mercedesa, kotku.

– Jestem Deb, nie „kotek”. Znamy się dostatecznie długo.

– Jasne, pamiętam – rzuca beztrósco Marcus.

Nie brzmi to przekonująco.

Czuję na sobie natarczywe spojrzenie Dylana, gdy wszyscy razem próbujemy uporać się z kwestią ubezpieczenia. Ja grzebię w telefonie, Deb szuka w schowku dokumentów, ale przez cały czas działa na mnie obecność Dylana, jakby zajmował dziesięć razy więcej miejsca niż ktokolwiek inny.

– Jak dotrzemy na ślub? – pyta Marcus, gdy formalności

są już załatwione.

- Transportem publicznym – odpowiada Dylan.
- Publicznym?!

Marcus nie posiada się ze zdumienia, jakby zaproponowano mu jazdę toboganem. Nic się nie zmieniło. Nadal ma coś z palanta.

Rodney chrząka. Stoi oparty o bok mini i nie odrywa wzroku od komórki. Odczuwam wyrzuty sumienia – wciąż zapominam o Rodneyu. Ale chwilowo nie mam do niego głowy.

- Jeżeli teraz ruszycie – odzywa się – to według Google’a będziecie na miejscu... o czternastej trzynaście.

Marcus zerka na zegarek.

- W porządku. Może być – mówi Dylan.
- We wtorek – dodaje Rodney.
- Że co? – wykrzykują jednocześnie Dylan i Marcus.

Rodney przybiera skruszoną minę.

- Jest wpół do czwartej rano, niedziela, mamy długi weekend, w poniedziałek dzień wolny od pracy. A wy chcecie się dostać z Chichester do wioski w Szkocji.

Marcus wznosi ręce.

- Ten kraj się sypie.

Deb i ja wymieniamy spojrzenia. Nie, nie, nie, przelatuje mi przez myśl.

- W drogę – podejmuję decyzję i zmierzam do samochodu. – Ty prowadzisz, dobrze?

– Addie... – odzywa się Deb, gdy siadam na miejscu pasażera.

- A wy dokąd? – woła Marcus.

Zatrząskuję drzwi.

- Zaraz, zaraz – nie odpuszcza, widząc, że Deb już jest za kierownicą. – Musicie nas zawieźć na ślub!

- Nie. Ignoruj go – rzucam szybko. – Rodney! Wsiadaj!

Chłopak wyświadcza mi tę grzeczność. To miło. Nie znam go na tyle, żeby się na niego wydzierać.

- Co jest, kurwa? Daj spokój, Addie. Jeżeli nas nie zabierzesz, nie dotrzemy tam na czas – piekli się Marcus.

Staje przy samochodzie z mojej strony. Puka w okno. Nie opuszczam szyby.

– Addie, przestań. Chryste, chyba jesteś winna Dylanowi przysługę.

Dylan mówi coś do Marcusa. Nie łapię słów.

– Boże, co za dupek. – Deb krzywi się z niechęcią.

Zamykam oczy.

– Dasz radę? – pyta Deb. – Zabierzesz ich?

– Nie. Nie obu razem.

– To go olej. Ruszamy.

Marcus znowu stuka w szybę. Zaciskam zęby, szyja wciąż mnie boli, patrzę prosto przed siebie.

– A miała być fajna wycieczka – mamrocę pod nosem.

Deb po raz pierwszy spędza weekend z dala od swojego maleńkiego synka, Riley'a. Od miesięcy tylko o tym rozmawiałyśmy. Zaplanowała każdy postój, wybrała najróżniejsze przekąski.

– I tak będzie fajnie – mówi Deb.

– Mogę się ścisnąć – proponuje Rodney.

Już jakby mniej go lubię.

– Mamy długą drogę, Deb. – Przyciskam pięści do oczu. – Przez wiele godzin będziemy tkwić z Dylanem w samochodzie. Prawie dwa lata przemykałam się ulicami Chichester, unikając spotkania z tym facetem choćby na sekundę, a co dopiero, gdyby miało to trwać osiem godzin.

– Przecież cię nie namawiam. Powiedziałam: ruszamy.

W oczekiwaniu na lawetę Dylan przestawił mercedesa w bezpieczniejsze miejsce. Odwracam się: akurat wysiada z auta – chudy zaniedbany dryblas, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Wiem, że gdy spotkają się nasze spojrzenia, nie zostawię go tutaj.

On też to wie. Jego usta układają się w słowo „przepraszam”.

Gdybym dostawała funta za każdym razem, kiedy Dylan Abbott mnie przepraszal, mogłabym sobie kupić takiego mercedesa.

Dylan

Czasem prawie cały wiersz przychodzi od razu, leży przede mną jak piłka, którą zaaportował pies. Kiedy siadam na tylnej kanapie w samochodzie Deb i wychwytuję boleśnie znajomy zapach perfum Addie, w jednej chwili mam w głowie dwie i pół linijki: „Taka sama i inna / Oczy utkwione w moich / A ja...”.

Co „ja”? Co ze mną? Jestem w rozsypce. Ilekroć spoglądam na Addie, coś we mnie podskakuje, jak delfin, a myślałby kto, że po upływie dwudziestu miesięcy nie będę taki udręczony, ale jestem, tak bardzo, że chce mi się, kurczę, wyć.

– Weź się posuń – rzuca Marcus, pchając mnie na Rodneya.

Błyskawicznie wyciągam rękę przed siebie, bo inaczej wylądowałaby na kolanach tego chłopaka.

– Przepraszam – mówimy chórem, Rodney i ja.

Mam wilgotne dłonie; ciągle przelękam ślinę, jakby to pomagało mi zatrzymać w środku wszystkie uczucia. Addie bardzo się zmieniła: ma krótkie włosy, niemal takie jak moje, ufarbowane na srebrnoszary kolor, a jej okulary – które wpadły do bagażnika, ale w cudowny sposób ocalały z wypadku – są masywne, trochę hipsterskie, bezwzględne. Chyba nigdy nie była taka piękna jak teraz. Jakbym widział jej siostrę bliźniaczkę: identyczną, a zarazem różną. „Taką samą i inną”.

Powinienem się odezwać, rzecz jasna, ale nie wiem,

co powiedzieć. Byłem dobry w tych sprawach – gładki w obcowaniu. Skurczony na wąskim środkowym siedzeniu, patrzę, jak auto ojca Marcusa odjeżdża ciemną ulicą, żałośnie uczezione lawety, i żałuję, że nie mam choć odrobiny śmiałości, której mi nie brakowało, gdy poznałem Addie, nieświadomy, jak bardzo zmieni moje życie.

– A w ogóle, co cię napadło, żeby wyruszać o świcie?
– zagaja Addie, gdy Deb włącza się do ruchu. – Nie lubisz wyjeżdżać tak wcześnie.

Robi makijaż w lusterku na osłonie przeciwsłonecznej. Patrzę, jak rozsmarowuje jakieś mazidło na twarzy.

– Jesteś ciut nie na czasie – wtrąca Marcus, moszcząc się na kanapie i dżgając mnie przy tym łokciem pod żebro.
– Obecnie Dylan ma niezwykle silne przekonanie, że podróż samochodem musi się bezwzględnie rozpoczynać o czwartej rano.

Z zażenowaniem spuszczam wzrok na kolana. To Addie pokazała mi, że jazda jest o wiele przyjemniejsza, gdy się ją rozpocznie w głębokiej ciszy przed świtem, z pokrzepiającą myślą o czekającym nas dniu. Ale rzeczywiście: kiedy byliśmy razem, zawsze narzekałem, że tak wcześnie wyrusza w długą podróż.

– Dobrze, że wystartowaliśmy z samego rana! – świergocze Rodney, który sprawdza informacje w komórce, trzymając łokieć jak najbliżej ciała.

Marcusowi nawet przez myśl nie przejdzie, żeby tak się poświęcać dla mojej wygody: siedzi rozparty, przyciskając kolano do mojej nogi i opierając łokieć na moim udzie. Ciężko wzdygam.

– Ale czas nas goni – ciągnie Rodney. – Możemy nie zdążyć na rodzinny grill. Jeszcze osiem godzin jazdy, a jest już wpół do szóstej!

– O, idziesz na przedślubny grill? – włączam się do rozmowy.

Rodney kiwa głową. Tym pytaniem próbuję bezceremonialnie dowiedzieć się, co on tutaj robi, i jednocześnie okazać życzliwe zainteresowanie. W

pierwszej chwili, gdy wszyscy troje wysiedli z samochodu, przytłoczyła mnie okropna myśl, że Addie zabiera go na ślub jako osobę towarzyszącą – kilka miesięcy temu Cherry wspomniała, że ona pewnie z kimś przyjedzie. Ale nie widać, żeby łączyła ich jakaś więź; Addie raczej go ignoruje.

W gruncie rzeczy ignoruje właściwie wszystkich. Po tych kilku pierwszych minutach, kiedy utrzymywaliśmy kontakt wzrokowy, przyprowadzając o palpitacje serca i ściskanie w żołądku, konsekwentnie unika mojego spojrzenia, ilekroć próbuję przyciągnąć jej uwagę. Tymczasem Marcus bezmyślnie bębni palcem w szybę, co sprawia, że Deb, która wypatruje drogi na obwodnicę Chichester, zerka na niego z rozdrażnieniem.

– Możemy puścić jakąś muzykę? – pyta Marcus.

Wiem, co będzie, jeszcze zanim Addie wciska PLAY. Słyszając początkowe dźwięki, staram się ukryć uśmiech. Nie znam tej piosenki, lecz amerykańską muzykę country rozpoznaje się natychmiast. Po paru akordach wiadomo, że piosenka opowiada o pocałunkach na werandzie wieczorną porą, spelunkach honky tonk czy przemierzaniu kraju ze ślicznotką w aucie. Addie i Deb, jeszcze jako nastolatki, pokochały muzykę country. Swego czasu docinałem Addie z tego powodu, co było wyjątkowym przejawem hipokryzji, ponieważ na playliście, której słucham podczas biegania, znajdują się niemal wyłącznie utwory Taylor Swift. Kiedy teraz słyszę dźwięk banjo, natychmiast mam przed oczami Addie, jak w mojej starej koszuli tańczy do muzyki Florida Georgia Line albo śpiewa *Watching You* razem z Rodneyem Atkinsem, gdy przy otwartych oknach jedziemy samochodem, albo powoli rozbiera się przy dźwiękach *Body Like a Back Road*.

– Może coś innego – mówi Addie, zawieszając dłoń nad telefonem.

– Lubię to. Zostaw. – Deb daje głośniejsze.

– Co to niby jest? – pokpiwa Marcus.

Widzę, jak Addie się spina.

– To Ryan Griffin – wyjaśnia. – Piosenka ma tytuł

*Woulda Left Me Too**.

Krzywię się. Marcus parska śmiechem.

– Ach, tak? – rzuca ironicznie.

– Jest na playliście Country Gold – mówi dalej Addie. Na jej szyi rozkwita lekki rumieniec, jak kwiat o nierównych płatkach. – Będziemy tego słuchać przez następne osiem godzin. Więc lepiej zacznij się przyzwyczajać.

Marcus otwiera drzwi samochodu.

– Co ty...

– Marcus, co ty, kurwa...

Na tylnej kanapie dochodzi do szarpaniny. Marcus odpycha mnie łokciem. W drzwiach jest zaledwie parocentymetrowa szpara, ale silne podmuchy wiatru wdzierają się do środka. Rodney wypycha się przede mnie, żeby dosięgnąć klamki, i w końcu cztery albo pięć rąk usiłuje ją chwycić, wpijając się paznokciami jedna w drugą; przetłuszczone włosy Rodneya ślizgają mi się po twarzy; moja noga przygniata nogę Marcusa...

– Jadę stopem! – drze się Marcus, wyraźnie pobudzony adrenaliną. Zawsze tak się nakręca, gdy robi coś głupiego. – Wypuście mnie! Nie zniosę ośmiu godzin czegoś takiego! Wyłączcie to! – Śmieje się, nawet gdy walę go w rękę tak mocno, że aż piecze mnie skóra.

– Oszalałeś – mówi Rodney. – Jedziemy prawie sto kilometrów na godzinę.

Samochód się kołysze. W lusterku wstecznym widzę ponure, zwężone oczy Deb, skoncentrowanej na tym, żeby trzymać się swojego pasa. Z naszej prawej strony śmigają auta, rozbłyskują jaskrawe światła reflektorów, pozostawiając żółtobiałe powidoki.

Addie wciska pauzę. Marcus zamyka drzwi. Kiedy milknie muzyka i już nie hula wiatr, słysząc każdy dźwięk w kabinie: ciężki oddech Rodneya, ruchy już nieco odprężonej Deb, która mości się w fotelu. Wyrzut adrenaliny podczas przepychanki sprawia, że mam dziwną

* Też bym siebie zostawił.

ochotę rąbnąć Marcusa w nos.

– Co z tobą? – cedzę przez zęby.

Czuję, że Addie odwraca się i obrzuca mnie spojrzeniem – być może zdziwionym – lecz zanim zdążę podnieść wzrok, znów patrzy na drogę.

Marcus traci pewność siebie, zerka na mnie z ukosa i widzę, że już żałuje swojego wybryku, ale jestem na niego taki zły, że nie zamierzam tego dostrzec. Po chwili parska wymuszonym śmiechem.

– Chcemy muzyki w trasę! – oznajmia. – Puść coś Springsteena.

Zapada długie milczenie.

– Deb, proszę – odzywa się w końcu Addie – zjedź na najbliższą stację obsługi autostrad.

– Na siku?

– Nie. Wysadzimy Marcusa. Dalej pojedzie stopem. Wedle życzenia.

Włącza tę samą piosenkę country.

Addie

Mijają wieki, zanim pojawia się stacja obsługi autostrad. Kiedy już tam zajeżdżamy, rzeczywiście muszę iść na siku. I zaczerpnąć świeżego powietrza. Nagle mam wrażenie, że mini jest najmniejszym samochodem na tym pieprzonym świecie.

– Naprawdę zostawimy Marcusa? – rozlega się zafrasowany głos za moimi plecami.

Energicznym krokiem zmierzam do budynku. Idę szybko, bo nie chcę, żeby Dylan dogonił mnie i wciągnął w rozmowę. Podczas jazdy udało mi się nie napotkać jego spojrzenia i liczę, że ten stan rzeczy utrzyma się przez następne sześćset kilkadziesiąt kilometrów.

Jak na takiego niezgrabę Rodney porusza się bardzo szybko. Spoglądam na niego przez ramię.

– Nie, raczej nie – uspokajam go. – Marcus ma skłonność do dramatyzowania. Lepiej od razu położyć temu kres niż pozwolić, by uzewnętrzniał swoje emocje przez resztę dnia.

– Skąd go znasz?

Rodney rzuca się do przodu i otwiera mi drzwi. Mrugam zaskoczona. Zachowuje się niezręcznie, jak nastolatek, a jest na pewno po trzydziestce.

– Dylan i ja byliśmy parą.

– Ojej. Boże drogi, ależ krępująca sytuacja! – Rodney przykłada obie dłonie do ust.

Ku własnemu zaskoczeniu parskam śmiechem.

– Chyba tak.

Z półki na końcu alejki biorę kilka batoników czekoladowych. Ja i Deb zapakowałyśmy na drogę dość przekąsek dla nas obu, ale Dylan ma wilczy apetyt. Jeśli wywęszy smakołyki, nasze zapasy znikną jeszcze przed Fareham.

– Przepraszam za tę komplikację. Nie martw się, będzie dobrze. Dylan i ja potrafimy zachowywać się kulturalnie przez kilka godzin.

– Czyli rozstaliście się po przyjacielsku, tak? – pyta Rodney, podsuwając mi koszyk.

Wkładam batoniki, do tego pięć paczek herbatników i kilka torebek z cukierkami.

– Hm, czy po przyjacielsku?

Tamtego wieczoru, gdy Dylan mnie zostawił, wydzieralam się na niego. Nie tak jak zwykle krzyczą na siebie ludzie, tylko na cały głos, aż drapało mnie w gardle. Walałam go pięściami po piersi i szlochałam, cała rozdygotana. Potem nie jadłam przez trzy dni.

– W miarę.

*

Wracamy. Dylan stoi z założonymi rękami, oparty o samochód, zwrócony twarzą w lewo. Za jego plecami wschodzi słońce. Obrazek jak z reklamy. Na przykład kapeli indierockowej albo ekskluzywnej wody kolońskiej. Wciąż ma zaniedbany wygląd i sennie spojrzenie, ale nieco wydoroślał – jest bardziej wyrazisty.

Przyglądam mu się trochę za długo i już spuszczam wzrok, a wtedy on podchwytuje moje spojrzenie.

– Addie – odzywa się, gdy podchodzimy.

Robi krok w przód, chcąc pomóc mi z zakupami. Odsuwam się i idę do bagażnika.

– Addie, proszę... – Ścisza głos. – Powinniśmy porozmawiać. Większość dnia spędzimy razem w samochodzie. Nie chcesz... no wiesz... choć trochę... rozładować atmosfery?

Zatrząskuję klapę bagażnika. Jakoś wcisnęłam dodatkowe pakunki, ale widoczność przez tylną szybę jest ograniczona. Rzeczy Dylana i Marcusa zajmują tyle miejsca, jakby jechała z nami Mariah Carey, nie wspominając o akcesoriach do ściągania pokarmu: dwóch laktatorach, torbie termicznej, butelkach...

– Przejdę się, rozprostuję nogi – oznajmia Rodney. – Wrócę za pięć minut, dobrze?

Nie należało mu mówić, że rozstaliśmy się w miarę po przyjacielsku. Nie zostawiłby mnie samej z Dylanem, gdybym przyznała, że zniszczył mi życie.

– Addie... nie możesz nawet spojrzeć na mnie?

Naprawdę nie jestem pewna, czy dam radę. To mi sprawia ból. Tak jakbyśmy byli dwoma magnesami o takiej samej sile oddziaływania, które odrywają się od siebie. Wolę spoglądać na trawnik, gdzie kilka osób wyprowadza psy. Mały pudel zatacza koła; jamnik chodzi w idiotycznych różowych szelkach. Za nimi pomału wznosi się słońce, a na trawie kładą się długie cienie. Widzę Marcusa, który przykucnął, żeby przywitać się z owczarkiem alzackim. Mam nadzieję, że pies jest przyjazny. Nie chcę, żeby go ugryzł, ale warknąć mógłby.

– Gdzie jest Deb? – pytam.

– Zadzwoniła wasza mama w sprawie Rileya.

Zerkam na Dylana.

– Deb powiedziała ci o Rileyu?

Patrzy łagodnym wzrokiem.

– Przed chwilą. Myślałem, że ty... że mi powiesz. O takich sprawach jak to, że Deb ma dziecko.

– Uznaliśmy, że nie będziemy się kontaktować.

– Ty tak uznałaś. Nie my.

Unoszę brwi.

– Przepraszam, przepraszam... – wycofuje się Dylan.

Bawię się bransoletkami. Mam świeżo pomalowane paznokcie, na wesele, ale są takie krótkie, że wyglądają głupawo. Jak czerwone kikutki.

– W każdym razie bardzo się cieszę, że Deb jest

szczęśliwa – dodaje, gdy się nie odzywam.

– I trochę się dziwisz, co?

Dylan uśmiecha się i ja też, mimowolnie.

– Nie spytasz, kto jest ojcem?

– Zakładam, że obydła się bez niego. Jak Gaja, no wiesz, gdy poczęła Uranosa.

Mimo usilnych starań uśmiecham się jeszcze szerzej.

– Nie, nie wiem – rzucam oschłym tonem.

– W porządku – bąka. Odgarnia do tyłu włosy, z przyzwyczajenia, bo robił tak, gdy były dłuższe i opadały mu na oczy. – Z mitologii greckiej. Pretensjonalne porównanie, szpanerskie, wybaczone. Chodziło mi o to, że Deb nigdy nie potrzebowała mężczyzny, zgadza się? Nie znaczy to, że zawsze jest potrzebny, ale... O Jezu.

– No to jazda! – rozlega się za nami okrzyk. Marcus pakuje się przed nas i otwiera tylne drzwi. – Odpalajcie. Rodney już galopuje.

Odwracam się i widzę Deb, która właśnie chowa telefon do kieszeni bluzy. Kiedy wsiada za Marcusem do samochodu, idę zająć miejsce kierowcy, mocno zaniepokojona. Czy to znaczy, że Dylan usiądzie z przodu, obok mnie?

– Gdzie się podział Rodney? – pyta Deb.

Spoglądam w tył, na trawnik. Rodney biegnie do nas, z rozwianym włosiem, nieskoordynowanie machając kończynami, a za nim gna owczarek alzacki, ciągnąc na smyczy swojego pana.

– Cudownie – mamroczę, gramoląc się do auta i usiłując włożyć kluczyk do stacyjki.

Marcus wznosi okrzyki na cześć Rodneya, kiedy ten zasapany opada na siedzenie.

– Przepraszam! Strasznie przepraszam! – drze się.

– No, no – Deb cmoka z niezadowolaniem – ręce przy sobie. Mało brakowało, a ta jedna zabiłaby w okolicy mojej waginy.

– Boże... najmocniej... – jąka się Rodney, kompletnie zażenowany.

Dylan siada z przodu. Znowu próbuje uchwycić moje spojrzenie.

– Nic się nie stało – mówi Deb. – Tamtędy wypchnęłam dziecko, więc nie tak łatwo ją uszkodzić.

– Och... ja nie... przepraszam...

– Przypomniało mi się, jak bardzo cię lubię, Deb – oznajmia Marcus.

– Naprawdę? Interesujące. Bo ja wcale cię nie lubię.

Wyjeżdżam na szosę. Nie mogę się oprzeć pokusie i rzucam okiem na Dylana.

– Przed nami tylko pięćset siedemdziesiąt sześć kilometrów – szepcze tak cicho, że tylko ja go słyszę.

Marcus wyjaśnia Deb, że „często jest źle rozumiany” i „właśnie dokonuje się w nim wewnętrzna przemiana, bardzo podobna do takiej, jakiej doświadczali rozpustnicy w wiejskich dziewiętnastowiecznych powieściach”.

– Pięćset siedemdziesiąt sześć kilometrów. Minie jak z bicza strzelił – mówię z przekonaniem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).